

# Wrocław – Londyn ... Wrocław

(autor: **Dorota**)

## **Rok 2004 - 2005 - Wrocław**

To był jeden z pierwszych poniedziałków maja 2004 roku. Rozpoczyłam swój kolejny, rutynowy dzień pracy. Sala kasyna była pusta, goście z nocy zdążyli już rozejść się do domów, miałam więc chwilę czasu dla siebie. Herbata, śniadanie, gazeta. Ten zestaw codziennie rano był mi niezbędny, lubiłam zaczynać dzień dobrym posiłkiem przyprawionym bieżącymi wiadomościami. Jak zwykle, zupełnie bezwiednie, zaczęłam przeglądać ogłoszenia o pracy. „Zatrudnimy do pracy w Wielkiej Brytanii krupierów z conajmniej dwuletnim doświadczeniem” przeczytałam. Pracuję w kasynach ponad 10 lat, jestem kierownikiem sali, nie, to nie dla mnie, pomyślałam, ja nie chcę zmieniać pracy, a już na pewno nigdzie wyjeżdżać, ale Ania, Mariusz, Beata od dawna myśleli o emigracji, część z nich po ostatnich redukcjach jest bez pracy, więc trzeba dać im znać, postanowiłam. Wysłałam kilka smsów, rozdzwoniły się telefony, co, gdzie, jak... Kilka dni później w dziesięć osób pojechaliśmy na spotkanie do Warszawy. Ja – raczej towarzysko, reszta – z nadzieją na diametralną zmianę w życiu. Spotkanie w stolicy bardziej nas rozczarowało niż oczarowało. Mnóstwo chętnych (plotka głosiła, że było ponad 200 osób), kilka kwestionariuszy do wypełnienia (uuuu, po angielsku, dobrze, że ktoś zabrał słownik), krótka rozmowa, zero konkretów... Wracaliśmy mimo to w dobrych nastrojach, kilka godzin spędzonych w pociągu było dobrą okazją na pogaduchy, wycieczka się udała. Tak wtedy ten wyjazd potraktowaliśmy.

W czerwcu 2004 odbyła się moja pierwsza sprawa rozwodowa. Mąż obiecywał, że wyrazi zgodę na rozwód na pierwszej rozprawie. Obiecanki – cacanki. Elegancko ubrany Marek wręczył mi na sali rozpraw bukiet kwiatów mówiąc, że bardzo mnie kocha i nie wyraża zgody na rozwód. Po czym przyznał, że były między nami nieporozumienia, ale on jest gotów wszystkie krzywdy mi wyrządzone naprawić, bo mnie kocha. Chciał i zrobić dobre wrażenie. Sędzina pouczyła mnie, że w tej sytuacji jedyne, co mogę zrobić to złożyć pozew o rozwód z orzeczeniem winy jeszcze męża. Wysłałam z sali sądowej zła na siebie. Ile razy jeszcze dam się temu człowiekowi zwieść?

Umówiłam się z adwokatem, chcąc nie chcąc musiałam zacząć o całej sprawie z kimś rozmawiać... A było o czym. Marek od kilku lat był uzależniony od heroiny, wydawał na narkotyki wszystkie zarobione przeze mnie pieniądze (sam od roku nie pracował), w ostatnim czasie poniżał mnie, wyzywał, obrażał, bił, obwiniał i obiecywał zemstę za swój nałóg i nieudane życie. A jednocześnie twierdził, że kochał. Adwokat w profesjonalny sposób opisał to, o czym mu powiedziałam i kilka dni później nowy pozew został dostarczony do sądu.

Gdy Marek dostał kopię pozwu, jego zachowanie uległo znacznemu pogorszeniu, bałam się zostawać z nim w domu. Marek groził, że mnie zabije, jeśli odejdę, twierdził, że zmarnowałam jego życie. W chwilach, kiedy stawał się szczególnie niebezpieczny, prosiłam o pomoc jego kolegów. Ci, widząc jak bardzo Marek jest agresywny, stale gościli u nas w domu. Z niecierpliwością czekałam na kolejny termin rozprawy.

We wrześniu moja najbliższa przyjaciółka została zwolniona z pracy, a dyrekcja kasyna nie kryła się już z zamierzeniami odmłodzenia załogi i stopniową wymianą wszystkich pracowników. W wieku 35 lat byłam za stara na kręcenie ruletką? Właściwie w naszej firmie nie pracował już nikt z ludzi, z którymi zaczynałam pracę w kasynie i z którymi utrzymywałam dobre koleżeńskie kontakty. Czułam, że wkrótce i ja mogę stracić pracę. Nie miałam żadnych dalszych planów kariery zawodowej. Zajęta problemami małżeńskimi nie zadbałam o dokończanie naukę języków obcych. Teraz zaczęłam dostrzegać te braki i powoli odczuwać strach. W rozmowie z jedną ze współwycieczkowniczek do Warszawy wyraziłam żal, że z tej pracy w Anglii nic nie wyszło. Anglicy, mimo obietnic, do nikogo się nie odezwali. Może jednak, gdyby się odezwali, trzeba by rozważyć możliwość wyjazdu?

Późną jesienią Ania, Mariusz, potem Paulina dostali propozycje pracy w Anglii. Korespondencyjnie szybko załatwiali formalności i wyjeżdżali. Ani się obejrzałam, jak zniknęła cała moja grupa przyjaciół. Żegnając się ze mną każdy mówił: Dorata, przemyśl wszystko i wyjeżdżaj, uciekaj stąd, do zobaczenia w Anglii. Ciągle jeszcze mówiłam: nie i w duchu cieszyłam się, że mam dobre wytłumaczenie: nie dostałam żadnej propozycji pracy w Anglii.

2 listopada 2004, dobrze pamiętam tę datę, dostałam dwie przesyłki. Jedną – z informacją o dacie kolejnej rozprawy rozwodowej, drugą – z propozycją pracy w Londynie. Rozprawa – w styczniu 2005, możliwość pracy w Anglii – zaraz po załatwieniu formalności urzędowych i uzyskaniu licencji krupiera. Rozwód – wreszcie była szansa, że wszystko się skończy, cieszyłam się. Praca w Londynie? Bałam się podjąć decyzję o wyjeździe, miałam tydzień na rozważenie za i przeciw, po tygodniu miałam odrzucić lub podpisać kontrakt.

To był długi tydzień przemyśleń...

Przypominały mi się pierwsze wspólne lata z Markiem. Kiedyś byliśmy bardzo szczęśliwi. Poznałam go kilka lat temu, Marek pisał wówczas doktorat na Akademii Ekonomicznej. Przystojny, inteligentny, uśmiechnięty, od razy zwrócił moją uwagę. Pokochałam go. Nie wiedziałam, że jest byłym narkomanem. Kiedyś wspomniał, że miał kontakt z narkotykami, ale potraktowałam to jako wybryk młodości, ot, pewnie kiedyś zapalił kilka razy trawkę. Tylko pierwszy rok była to prawdziwa miłość na zdrowych zasadach. Później było coraz gorzej. Mąż z byłego narkomana stał się znowu biorącym, kłamiącym, oszukującym, okradającym mnie. Nic nie było dla niego ważne oprócz zdobycia pieniędzy na następną działkę. Dla otoczenia odgrywałam rolę szczęśliwej małżonki, w rzeczywistości żyłam od jednej jego działki do drugiej, popadałam w coraz większą depresję, poczucie winy i strach, że następnej nocy on może nie przeżyć. Z czasem nie dawałam sobie rady z nim i ze sobą. Nie widząc wyjścia z sytuacji zaczęłam mieć myśli samobójcze, tylko w takiej ucieczce widziałam dla siebie ratunek i spokój. On też zaczął się bać, coraz częściej nie panował nad tym co mówił i robił. Chciałam odejść, zaczęłam mówić o rozwodzie. Któregoś razu, po alkoholu i narkotykach Marek z nożem wygonił mnie z mieszkania. Naćpany i pijany urajał sobie, że skoro chcę się z nim rozwieść to znaczy, że kogoś mam, że go zdradzałam i za to chciał mnie zabić. Uciekłam z domu i zadzwoniłam do jego najbliższego przyjaciela, z którym kiedyś razem studiowali. Ten przyjechał i zabrał Marka do siebie do domu. Nazajutrz przyjaciel Marka zadzwonił do mnie mówiąc, że mąż jest na odtruciu. Nie pamiętałam, który to już raz. Każde poprzednie odtrucie dawało tylko kilkudniowe rezultaty. Najdalej po tygodniu Marek wracał do heroiny.

Tym razem Marek nie ćpał od kilku tygodni. Albo znowu tak dobrze oszukiwał. Był wyjątkowo miły, szarmancki, troskliwy. Kochający? Tęskniłam za nim takim. Czułam się od tak dawna samotna, niekochana, nikomu niepotrzebna. Tęskniłam za zwyczajnym spokojnym życiem, czułością. Nie kochałam go już, ale poddawałam się jego gestom, słowom. Mimo to wiedziałam, że rozwód jest koniecznością. Dla własnego dobra musiałam oderwać się od niego, jego świata, jego życia. Może właśnie dlatego wyjazd mógł być dobrym wyjściem z sytuacji? Może jednak powinnam po prostu uciec zanim ponownie poddam się jemu choremu uczuciu? Wiedziałam, że jeśli zostanę w Polsce Marek przekona mnie do wycofania sprawy o rozwód, a moje życie zamknie się ponownie w błędnym kole strachu, nerwów, szantażów i jego rzekomej miłości. Za słaba byłam, żeby stanowczo powiedzieć: nie...

Nigdy nie wyobrażałam sobie siebie wyjeżdżającej na dłużej za granicę. Miałam bliską rodzinę w Kanadzie, wiele razy zapraszali mnie do siebie, na wakacje, gdybym chciała – do pracy, zawsze odmawiałam. Zawsze wydawało mi się, że moje miejsce jest w Polsce, w ukochanym Wrocławiu. Długo myślałam co tak bardzo trzymało mnie wtedy w Polsce...

Przyjaciele? W większości byli już w Anglii, wołali: przyjeżdżaj...

Rodzina? Tutaj była mama, ojczym, bracia... Ojczym – jest bliskim człowiekiem mojej mamy, ale moim? Mama? Nasze kontakty były bardzo sporadyczne, tak naprawdę nigdy nie byliśmy ze sobą blisko związane. Pewnie dlatego nic nie wiedziała o moich problemach z Markiem. Bracia? Z Rafałem kontakty prawie urwały się po jego ślubie. Sebastian? Jest młodszy ode mnie o 18 lat, ciągle nazywałam go zdrobniale Sebastiankiem, a tymczasem Sebastianek ma już 182 cm wzrostu i jest prawie dorosłym mężczyzną. Prawie... Sebastian jest niepełnosprawny, nie wiem, czy i na ile kiedykolwiek będzie samodzielny. Ale Sebastian mieszkał z mamą, miał dobrą opiekę. Chyba jednak to nie rodzina trzymała mnie we Wrocławiu...

Praca? Na razie pracę miałam, ale jak długo? Kilka miesięcy? I co potem? Kasynem byłam już trochę znudzona, zwolnienie z pracy mogłoby być dobrą okazją do zmiany pracy, ale ja nie wiedziałam co innego chciałabym robić. Nie miałam żadnych oszczędności, nie mogłam sobie pozwolić na przestój na poszukiwanie pracy czy przekwalifikowanie się.

Strach był chyba tym, co najbardziej trzymało mnie w Polsce. Strach przed nieznanym, przed zmianami, przed porażką... Bałam się wszystkiego – nowych miejsc, nowych ludzi, nowej pracy, języka. Nie wiedziałam czy i jak sobie tam poradzę. Ciągle miałam w głowie małżeńską porażkę. A jak w Anglii też mi się nie uda? A jak mi się nie spodoba? A jak nie zaadoptuję się do nowych warunków? Anglia stanie się dla mnie taką samą pułapką jak małżeństwo... Wstyd będzie przyznać, że jest mi źle, wstyd wracać, zresztą do czego? Nie będę w Polsce miała pracy... Długo rozmawiałam o tym wyjeździe z moją psycholog. Powiedziała mi mądre zdanie: odwagą jest wrócić, jak jest źle. Tak jak odwagą było się rozwieść, odejść. Dlaczego tak trudno było mi przyjąć taki sposób myślenia? Ja myślałam wyłącznie w kategoriach moich porażek...

Zupełnie natomiast nie potrafiłam myśleć o pozytywach takiego wyjazdu: możliwości nauki języka, poznania nowych ludzi, zarobienia pieniędzy... Te widziałam bardzo mgliście.

Tydzień minął szybko, a ja ciągle się wahałam. Mimo to podpisałam dokumenty. Czekałam na angielską licencję krupiera i ustalenie daty przyjazdu.

Przez kilka tygodni nie rozmawiałam z mężem o rozwodzie. Mieszkaliśmy osobno, ale Marek bardzo często mnie odwiedzał. Stał się innym człowiekiem, chyba (to „chyba” odzwierciedlało mój brak do niego zaufania) nie ćpał. Widać było, że starał się odzyskać moje uczucia, nie chciał, żebym odeszła. Kiedyś powiedział mi, że nie chce być sam, bo gdyby znów był w takim stanie jak ostatnio, nikt mu już nie pomoże, a on może tego nie przeżyć. Nikt z rodziny dawno nie utrzymywał z nim kontaktów, Marek przećpał wszystkie ich pieniądze. Przyjaciele nie mieli już do niego zaufania. Mnóstwo ludzi zawiódł przez swoje uzależnienie, a zaufanie

odzyskać jest bardzo trudno. Więc gdyby coś się stało, będzie sam. Gdybym była jego żoną Marek byłby pewien, że w razie jego powrotu do narkotyków nie zostawiłabym go, pomogłabym. Ja jako polisa bezpieczeństwa? A gdzie uczucia? Nie potrafiłam i nie chciałam dźwigać takiego ciężaru. Nie było już we mnie miłości. Za dużo złego się zdarzyło.

Oboje wychodziliśmy z tego małżeństwa okaleczeni. Chciałabym jednak, żeby to małżeństwo czegoś nas nauczyło na przyszłość. Życzyłabym jeszcze mężowi, żeby nigdy nie wrócił do heroiny, on już wie, ile przez nią może stracić. Chciałabym, żeby dobrze ułożył sobie życie i był szczęśliwy. Marek potrafi być dobrym człowiekiem. Żeby był. Ja muszę odbudować wiarę w siebie, nauczyć się żyć swoim życiem, pamiętać, że najważniejsza w moim życiu jestem ja.

Dzień przed rozprawą w sądzie spotkałam się z Markiem w naszej ulubionej restauracji. Marek ponownie prosił mnie o odroczenie sprawy, o czas. Ciągle mnie kochał i wierzył, że jeszcze może nam się udać. Ja już nie. Byłam zmęczona przeżyciami ostatnich kilku lat. Chciałam się rozwieść, chciałam być wolna. Jeszcze raz prosiłam go o zgodę na rozwód tłumacząc, że tylko rozstając się pokojowo nie staniemy się wrogami. Marek upatrywał w tym szansę na nasze przyszłe kontakty... Nie zaprzeczyłam. Nie powiedziałam mu o Londynie.

Następnego dnia w sądzie stawili się świadkowie, Marek i ja. W kilku pierwszych słowach Marek, jeszcze mój mąż, wyraził zgodę na rozwód. Świadkowie rozeszli się do domów, my czekaliśmy na orzeczenie na korytarzu. Dorota, mówił Marek, ja nie chcę tego rozwodu, wszystko to zrobiłem wbrew sobie, dla ciebie bo cię kocham. Nie chciałam tego słuchać, dobrze, że zaraz zostaliśmy wezwani na salę sądową. Po wyjściu z sądu, na ulicy zaczęłam płakać. W tym momencie poczułam, że coś definitywnie się skończyło, umarło. Marek, już mój eks-mąż zaczął mnie przytulać, poszliśmy do mnie do domu. Oboje płakaliśmy. Oboje byliśmy w tym momencie bardzo nieszczęśliwi.

Nie wyobrażałam sobie wtedy swojego życia po rozwodzie. Marek był pierwszą moją miłością. Odkąd pamiętam zawsze przy mnie był, żyłam jego życiem. Teraz wszystko miało się zmienić, a ja bardzo bałam się tych zmian. Miałam wrażenie, że moje życie już się skończyło, że nie czeka mnie już nic dobrego. W takim nastroju, w poczuciu samotności, mijały mi pierwsze tygodnie, miesiące po rozstaniu z Markiem.

Wiosną otrzymałam komplet dokumentów z Anglii i wraz z przyszłym pracodawcą ustaliłam termin mojego przyjazdu do Londynu na poniedziałek, 20 czerwca 2005.

Rok 2005 - 2007 – Londyn

## **Pierwszy tydzień, pierwsze wrażenia**

Do ostatniego dnia nie mogłam uwierzyć, że zdecydowałam się na ten wyjazd. W czasie podróży myślałam: po co mi to wszystko? Samolot wylądował punktualnie na lotnisku Luton. Stamtąd miałam się udać autobusem na Finchley Road. Wydawało mi się, że autobus, który znalazłam to ten właściwy, ale dla pewności wolałam spytać. Przyjaciele mówili mi, że w Londynie dużo jest Polaków, więc zawsze mogłam zapytać kogoś w ojczystym języku. Idąca obok mnie dziewczyna wyglądała na Polkę. Przepraszam, zapytałam, czy tym autobusem dojadę na Finchley Road. Sorry? odpowiedziała nieznajoma. O, Boże, pomyślałam, już nie jestem u siebie, jak to powiedzieć po angielsku? Pokazałam kierowcy nazwę przystanku zapisaną na kartce, kierowca skinął głową, coś powiedział, zupełnie nie rozróżniałam jego słów. Powinnam była się uczyć, dużo uczyć, a nie bazować na tym, co pamiętałam ze szkoły, pomyślałam. Wydawało mi się, że coś tam umiem, teraz już wiedziałam – będzie trudno. Wsiadłam do autobusu, zaczęłam przyglądać się twarzom współpasażerów. Wszyscy wyglądali swojsko, normalnie, może więc był też ktoś z Polski? Dziewczyna siedząca obok mnie pisała do kogoś sms-a, chwilę potem ktoś oddzwonił. Cześć, kochanie, jestem już w autobusie, mówiła, wyjdiesz po mnie na przystanek? Nie chciałam podsłuchiwać, ale ucieszyłam się – to Polka! Miałam z kim porozmawiać i uspokoić nerwy.

Na przystanek wyjechać miała po mnie Mena – pośredniczka, która pilotowała mój kontrakt lub Dawid – jej współpracownik. Obojga widziałam przeszło rok temu w Warszawie. Rozmowa była wtedy krótka, bałam się, że teraz ich nie rozpoznam. Na przystanku stał siwy starszy pan. Dawid? On też chyba nie był pewny czy ja to ja – na pewno mnie nie pamiętał, ale miał chociaż zdjęcie. Halo, how are you? Dawid był Anglikiem, musiałam więc zacząć rozmawiać po angielsku. Pojechaliśmy do hotelu, w którym miałam nocować, zostawiłam bagaże, po czym pojechaliśmy do biura pośrednika pracy. Tam czekała na mnie Mena. Ucieszyłam się witając się z nią. To z Meną utrzymywałam wcześniej kontakt mailowy, była mi ona bliższa niż Dawid. Jej angielski też był dla mnie zdecydowanie bardziej zrozumiały niż język Dawida. Może dlatego, że Mena była Portugalką, używała prostszego języka i mówiła wolniej? Pracę miałam rozpocząć za tydzień. Do tego czasu miałam poszukać sobie zakwaterowania (za tydzień w hotelu miało zapłacić kasyno), zaznajomić się z zasadami pracy w Anglii, założyć konto w banku, spotkać się z managerem kasyna, odebrać strój służbowy. Bieżące popołudnie mogłam spędzić na zagospodarowaniu się. Z Meną miałam spotkać się następnego dnia. Dawid odwiózł mnie z powrotem do hotelu, umówiliśmy się, że przyjedzie po mnie rano. Zadzwoiłam do Beaty – pracowała tego dnia, potem do Mariusza i Ani – oboje byli w pracy.

Paulina następnego dnia miała mieć wolne, zadzwoni do mnie, wieczorem przyjedzie, jeśli będę miała wolny czas.

Było słoneczne, gorące popołudnie. Z ulicy dochodziły głośne dźwięki muzyki, śpiewu, śmiechu i rozmów. Nie rozumiałam ani słowa. Zastanawiałam się, czy wyjść na zewnątrz. Czułam się niepewnie, nieswojo. Ciekawość jednak zwyciężyła. Wyszłam z hotelu. Zapisałam jego nazwę, nazwę ulicy, musiałam przecież jakoś wrócić. Uznałam, że najprościej będzie pójść jedną ulicą, łatwiej będzie potem wrócić. Godzina w jedną stronę, potem powrót, postanowiłam. Wybrałam się na swój pierwszy londyński spacer. Głośno, wszędzie głośno, dużo rozmów, krzyków, z których nic nie rozumiałam. Dużo ludzi na ulicach, kolorowo ubranych, o różnych kolorach skóry. Różne kolory włosów, często dziwaczne fryzury. Nie wiedziałam, że tym charakteryzuje się Camden Town. Czy to na pewno Europa? pomyślałam. Nie pasowałam tu. Byłam szarą myszką, ubraną w zwykły nie rzucający się w oczy t-shirt i jeansy. Przemykałam cichutko pomiędzy tymi barwnymi postaciami. Byłam przerażona widokiem ludzi, ulic, samochodów wyjeżdżających nagle z niespodziewanych miejsc. Znalazłam samoobsługowy sklep, zrobiłam zakupy nie wypowiadając ani słowa. Do hotelu wróciłam zmęczona, ale zaciekawiona. To chyba nie moje miejsce, pomyślałam, ale chcę je chociaż dobrze poznać.

Dawid zjawiał się następnego dnia punktualnie o 9. Pojechaliśmy do biura. Na piętrze Mena prowadziła szkołę dla krupierów. Stały tam stoły do ruletki, Black Jacka i Pokera. Mena poprosiła mnie o poprowadzenie kilku gier, chciała zobaczyć co potrafię. Chyba była zadowolona, powiedziała mi o różnicach w regulaminach gier, nie było tego dużo, szybko zrozumiałam o co chodzi. Mena umówiła mnie z managerem kasyna na następny dzień, miałam tam uzgodnić od kiedy mam zacząć pracę i odebrać pieniądze – pożyczkę na zagospodarowanie, które kasyno zagwarantowało mi w kontrakcie. Zostałam poinstruowana, jak mam dojechać do kasyna, na kartce Mena zapisała mi adres. Nie miałam kłopotów ze zrozumieniem Meny, ale sama mówiłam niewiele, niestety, mój język angielski był bardzo ubogi. Spytałam Menę, czy muszę tam jechać sama, powiedziała jej, że boję się, że się nie porozumiem. Dawida często nie rozumiałam, przyznałam się Menie. Dorota, twój język jest ok, przyjmowałam już osoby, które nic nie mówiły, nie martw się, dasz sobie radę, możesz tam jechać sama, Mena nie miała wątpliwości. Po południu Dawid założył mi konto w banku. Wstyd przyznać, sama nie byłabym w stanie załatwić tam niczego, niewiele rozumiałam z dokumentów, które trzeba było tam wypełnić.

Wieczorem przyjechała do mnie Paulina. Opowiedziała mi o swoich początkach w Londynie (była już tu pół roku). Z zazdrością patrzyłam, jak swobodnie porusza się po ulicach i robi zakupy w sklepie. Pomogła mi w zakupie kilku niezbędnych rzeczy. Miała też dla mnie dobrą

wiadomość – na początek będę mieszkać z Anią, ona wynajęła właśnie pokój dwuosobowy, zapłaciła też za mnie depozyt. Paulina nie wiedziała niestety nic o tym, gdzie znajduje się ten pokój, czy będę miała dobry dojazd do pracy i czy okolica jest bezpieczna. Na tym ostatnim zależało mi szczególnie – z pracy często miałam wracać nocą.

W środę, zgodnie ze wskazówkami Meny, udałam się do kasyna. Moim managerem, z którym miałam na początku pracować, był Steve. Bardzo miły, sympatyczny, około czterdziestolatek mówiący bardzo zrozumiałym angielskim (hurra!). Wszystkie formalności załatwiliśmy dość szybko, Steve pomógł mi w wypełnieniu kilku kwestionariuszy (Polska nie jest jednak najbardziej biurokratycznym państwem świata – Anglia bije nas na głowę). Odebrałam strój służbowy i pieniądze. Te ostatnie okazały się bardzo pomocne – na początku pobytu czekały mnie dość duże wydatki. Do pracy miałam stawić się w poniedziałek. System pracy obowiązujący w kasynach angielskich był taki sam jak w Polsce – 4 dni pracy, 2 dni wolne, bez względu na weekendy i święta. Pierwsze cztery dni pracy miałam spędzić na nauce procedur obowiązujących w kasynie. Procedura – dość często słyszałam to słowo od dnia przyjazdu. Anglicy chyba je lubią, pomyślałam.

W czwartek ponownie pojawiłam u Meny. Zreferowałam jej moje spotkanie ze Stevem. Oczekiwałam od niej wskazówek – co dalej? Miałam do wypełnienia jeszcze kilka dokumentów (naprawdę więcej, dużo więcej tego niż w Polsce) i ... byłam wolna. Mena stwierdziła, że na tym kończy się jej rola. Życzyła mi miłego weekendu i powodzenia w pracy. Pożegnanie z Dawidem i Meną sprawiło że poczułam, że nie mam już opiekunów w Londynie. Dalej byłam zdana tylko na siebie...

Po południu pojechałam do Ani zobaczyć pokój, który dla nas wynajęła. Z centrum jechałam metrem prawie 40 minut. Daleko, pomyślałam. Ania wyszła po mnie na stację. Co za nieciekawa dzielnica, wszędzie brudno, na ulicach prawie sami Hindusi, dziwne zapachy, nie podobało mi się. Od przystanku szliśmy prawie 20 minut, połowa drogi wiodła przez park. Jak będę wracać tędy w nocy, skoro w dzień nie czuję się bezpiecznie? Spytałam Anię o nocny autobus. Jest, z Trafalgar Square jedzie około pół godziny. Do Trafalgar Square z kasyna jechałam 20 minut, to byłaby razem prawie godzina jazdy, a czas oczekiwania na przystankach? Daleko, myślałam. Gdy weszłam do pokoju Ani już wiedziałam – nie chcę tu mieszkać. Jedna łazienka na 8 osób, pokój brudny, mały, nie ma szafy, tylko jakaś komoda, jedno łóżko, właściciel obiecał wstawić drugie za kilka dni. Kiedy? I gdzie? Przecież tam nie było miejsca. Nie widziałam innych pokoi w Londynie, nie znałam cen, ale myślałam – nie tu.... Nie wiedziałam co powiedzieć Ani. Umówiliśmy się jeszcze w Polsce, że zamieszkamy razem na krótko najpierw w pokoju i od razu zaczniemy szukać mieszkania. Ania była zdecydowana jednak zostać w tym pokoju na dłużej – było w miarę tanio, dojazd do jej pracy



był bezpośredni, na razie nie chciała wynajmować mieszkania, jest za drogo, chciała odłożyć jakąś gotówkę. Zapłaciłam Ani czynsz za pierwsze dwa tygodnie pobytu i depozyt. Powiedziałam jej też, że mi się tu nie podoba, nie chcę tego pokoju, zamieszkam tu, bo nie mam nic innego, ale tylko na chwilę. Widziałam, że nie była zadowolona z moich słów. Próbowła tłumaczyć mi, że w Londynie tak się mieszka. Nie, pomyślałam, tylko nie to... Wieczorem wróciłam do hotelu. Następnego dnia byłam zaproszona do Beaty, najbliższej mi przyjaciółki, z którą w Polsce wspólnie 12 lat temu zaczynałyśmy pracę w kasynie i teraz miałyśmy pracować w tym samym kasynie. Beata została zwolniona pół roku temu, nie mogła znaleźć pracy w Polsce, zdecydowała się na wyjazd na rok, może dwa... W Polsce Beata zostawiła męża i syna, tęskniła, ale potrzebowała pieniędzy. Od wyjazdu do Londynu regularnie pisała do mnie maile. Z tych mailii wiedziałam jak mieszka, nazywała to miejsce norką, według Beaty tak było małe. Chyba nie mniejsze niż pokój Ani, pomyślałam...

Beata mieszkała w centrum w tzw. bedsicie czyli pokoju połączonym z kuchnią w piwnicy typowego angielskiego domu. Nie widziałam Beaty ponad pół roku, bardzo schudła, wyglądała źle. Zaprowadziła mnie do swojej norki. Nie potrafiłabym tego miejsca nazwać mieszkaniem. Pomieszczenie było wilgotne, zimne o szaroburzych, brudnych ścianach. Powierzchnia całości wynosiła może 6 metrów kwadratowych, na umeblowanie składało się łóżko, szafa, dwie szafki kuchenne i fotel. W połączeniu z widokiem zmęczonej, wychudłej Beaty wrażenie było zatrważające. Chciało mi się płakać, chciałam szybko stamtąd uciekać. To miało być to nasze królestwo dobrobytu? Ja też miałam tak żyć? Czyżby Ania miała rację? W Londynie tak się mieszka? Wszystko we mnie krzyczało: nie! Albo będę żyła tu normalnie albo wracam...

Tymczasem wkrótce czekała mnie przeprowadzka do Ani. Próbowалам szukać jeszcze jakiś kontaktów w Londynie, może ktoś da mi namiary na jakiś pokój do wynajęcia, może znajdę coś w internecie. Niespodziewanie zadzwoniła do mnie koleżanka z dziecięcych lat. Wiedziałam, że Magda od kilkunastu lat mieszka w Londynie, sporadycznie widywałam jej mamę we Wrocławiu. Nie pomyślałam jednak, aby wziąć od niej numer telefonu Magdy. Tymczasem to Magda znalazła mój numer telefonu poprzez wspólnych znajomych i skontaktowała się ze mną. Umówiłyśmy się u niej w domu. Powiedziałam jej o moich problemach ze znalezieniem miejsca do zamieszkania. Okazało się, że Magda miała mieszkanie, w którym wynajmowała pokoje, akurat zwolnił się u niej pokój jednoosobowy. Jeśli chciałabym zobaczyć... Oczywiście, że chciałam. Miałam naprawdę szczęście – pokój był wprawdzie nieduży, okolica – taka sobie, ale budynek usytuowany był bardzo blisko stacji metra i przystanku autobusowego. Dojazd do i z pracy zajmąby mi pół godziny jednym autobusem, który jeździ 24 godziny na dobę. W mieszkaniu oprócz mnie mieszkałyby tylko dwie osoby. Zdecydowałam szybko – to tutaj będę mieszkać. Zadzwoniłam do Ani – nie

wprowadzę się do niej w niedzielę, znalazłam coś lepszego, mówiłam jej, że tamten pokój mi nie pasuje. Przepadły mi wprawdzie pieniądze, które zapłaciłam Ani, ale ważniejsza była dla mnie moja wygoda. Ania obraziła się i zapowiedziała, że nie chce mieć ze mną żadnego kontaktu. Było mi przykro, ale miałam nadzieję, że poprzez wspólnych przyjaciół szybko się pogodzimy.

W niedzielę wprowadziłam się do mojego nowego mieszkania. Współlokatorkami okazały się Słowaczki, dwie dwudziestolatki. Następny dzień miał być moim pierwszym dniem pracy. Skończyły się wakacje, zaczynało się codzienne życie...

## **Życie codzienne**

Kasyno, w którym dostałam pracę, od razu mi się spodobało. Może dlatego, że jego wystrój był bardzo podobny do wystroju mojego wrocławskiego kasyna? A może wszystkie kasyna na świecie są do siebie podobne?

Moja praca w Londynie niewiele różniła się od pracy krupiera w Polsce. O ile w Polsce byłam już tą pracą nieco znudzona, o tyle w Londynie nabrała ona dla mnie nowego wymiaru – dawała szansę na poznanie nowych ludzi, języka i nienajgorszy zarobek. Lubię tę pracę. Będąc w Polsce często prowadziłam kursy dla przyszłych krupierów. Tłumacząc na czym polega ten zawód, zawsze mówiłam: dobry krupier jest jak aktor, dla którego sceną jest stół, na którym prowadzi grę, a widownią są gracze. Zadaniem krupiera jest bawić ich lub razem z nimi martwić się ich przegraną. Z dobrym krupierem – aktorem sama gra jest przyjemnością bez względu na wynik. Jako kierownik zawsze ceniłam tych krupierów, którzy potrafili zrobić widowisko przy stole, mniej zwracałam uwagę na umiejętności techniczne. Ci, którzy byli dobrzy tylko technicznie, byli dla mnie nijacy. Długo byłam takim nijakim, nudnym krupierem w Londynie. Szefostwo mnie chwaliło – technicznie nie można było mi nic zarzucić, ale nie umiałam się z gośćmi bawić. Brakowało mi nie tylko bardzo dobrej znajomości języka, ale nie umiałam też wczuć się w angielską obyczajowość i poczucie humoru. Na to potrzeba było dużo czasu, ale powoli osiągałam coraz lepsze efekty. Firma też była zadowolona z moich postępów w pracy, ponieważ regularnie co pół roku dostawałam podwyżki. Nie były to duże kwoty, ale zawsze cieszyły.

Wielu moich przyjaciół bardzo dużo złego mówiło w Anglii o swoich byłych pracodawcach i szefach w Polsce. Zawsze na tym tle dochodziło między mną a moimi przyjaciółmi do

nieporozumień. Mimo, że zarzuty nie dotyczyły z reguły mnie, ja też byłam w Polsce w kadrze managerskiej. Porównywano relacje szef – pracownik w Anglii i w Polsce. Myślę, że takie porównania nie mają sensu. To nie kadra managerska w Polsce jest zła, to warunki prowadzenia firm w Polsce i w Anglii są skrajnie różne. Tutaj firmy nie muszą martwić się o przetrwanie, o pieniądze, wszędzie, w każdym biznesie po prostu zarabia się tu pieniądze. To powoduje, że praca osób zarządzających firmami jest mniej stresująca, bardziej stabilna, pewna. Ten spokój managera przenosi się także na jego relacje z pracownikami. Jestem pewna, że mając takie warunki pracy także wielu polskich kierowników, dyrektorów pracowałoby inaczej, spokojniej i ich kontakty z podwładnymi byłby inne. Z kolei nie jestem przekonana, czy angielska kadra umiałaby się odnaleźć w polskiej rzeczywistości ekonomicznej. Zauważyłam, że Anglicy są mało kreatywni, pracują automatycznie, wyłącznie zgodnie z tzw. procedurami. Jeśli natomiast potrzebne jest natychmiastowe podjęcie decyzji w jakiegokolwiek, nawet błahej sprawie, nikt nie chce przyjąć na siebie odpowiedzialności, przekazując sprawę następnemu. I można tak chodzić od jednego do drugiego aż ktoś coś w końcu postanowi.

Pamiętam jedną taką sytuację. Jednego z gości kasyna, Amerykanina, z którym grałam w Black Jacka, rozbolała głowa. Spytał mnie, czy mógłby gdzieś tu dostać tabletkę od bólu głowy. Przekazałam prośbę inspektorowi, który stał przy stole. Ten z kolei powiedział o tym kierownikowi sali. Wiedziałam, że kierownik ma gdzieś apteczkę, w której powinny być leki przeciwbólowe. Kierownik zadzwonił po managera. Ten wszedł na salę, zamienił kilka słów z kierownikiem i zadzwonił do następnego managera. Obserwowałam całą sytuację z pewnym rozbawieniem, nie mają tabletek, pomyślałam i powiedziałam inspektorowi, że jeśli nie mają żadnej tabletki, ja mogę im dać, mam w szatni paracetamol. Kolejno poinformowani o tym zostali przez inspektora kierownik i dwaj managerowie. Po 15 minutach konsultacji managerowie doszli do porozumienia. Jeden z nich podszedł do Amerykanina, nie z tabletką, ale ze słowami: bardzo przepraszamy, ale nie możemy panu podać tabletki, nie jesteśmy do tego upoważnieni, bo gdyby panu się coś stało, źle by się pan poczuł po tej tabletkce, to kasyno musiałoby ponieść odpowiedzialność... Byłam zdumiona. No, cóż, ja ze zwykłej ludzkiej życzliwości po prostu podałamby temu gościowi tabletkę. Zupełnie nie nadaję się więc na managera angielskiego kasyna. Amerykanin też był zaskoczony, a tabletkę kupił w sklepie obok kasyna.

Miłym zaskoczeniem w pracy było to, że w Anglii bardzo ceni się doświadczenie zawodowe pracownika. Od samego początku dużo osób pytało mnie jak długo pracuję w tej branży. Moje 12 lat stażu pracy było dla nich powodem do szacunku i poparciem mojej zawodowej wiedzy.

W Polsce trzydziestoparoletnia osoba pracująca w kasynach ponad 10 lat wydawała się niektórym pracodawcom za stara, a w związku z długoletnim stażem pracy – mniej kreatywna. Był to powód do wymiany pracowników na nowych, młodszych. W Anglii wielu pracowników spędzało w kasynach całe swoje zawodowe życie. Dobrze wróżyło to na przyszłość, gdybym miała zostać tu na stałe.

W pracy często z zazdrością patrzyłam na swoich managerów i kierowników sali. To były stanowiska, na których pracowałam w Polsce. Początkowo miałam nadzieję, że z czasem będę miała możliwość awansu, wydawało mi się, że managerowie na równi traktują w pracy Anglików i cudzoziemców. Tak jest jednak tylko do momentu, kiedy cudzoziemiec stara się o awans. Zauważyłam, że nie było w moim kasynie żadnego cudzoziemca na stanowisku kierowniczym. To nie przypadek. Na podstawie rozmów z pracownikami z innych krajów dowiedziałam się, że wprawdzie oficjalnie jedynym kryterium awansu są wiedza i doświadczenie pracownika, nieoficjalnie jednak występuje zjawisko tzw. szklanego sufitu, który nie pozwala na awanse cudzoziemcom. Im wyżej w szczeblach kariery zawodowej tym cudzoziemców – mniej lub wcale. I w ten sposób rozwiały się moje nadzieje na szybki awans.

O Anglikach często mówi się, że są zimni i nieprzystępni. Pierwsze tygodnie mojego pobytu w Anglii zdecydowanie temu przeczyły. Wszyscy zawsze mile się do mnie uśmiechali i z zainteresowaniem pytali: co słychać, jak się miewam, czy robiłam ostatnio coś ciekawego, w każdym zdaniu zwracając się do mnie: darling, sweetie, honey... Bardzo szybko jednak zauważyłam, że pytania te nie wynikają z chęci bliższego mnie poznania czy interesowania się moimi problemami, ale ze zwykłego przyzwyczajenia. Bardzo często Anglicy nie czekają nawet na odpowiedź na te pytania, oczekując równie standardowych odpowiedzi. Bardzo szybko więc nauczyłam się zdawkowo odpowiadać: I'm very well, thank you i przestałam traktować te pytania jako zachętę do dalszej konwersacji.

Anglicy są specjalistami w mówieniu o niczym. Podczas kilkuminutowej przerwy potrafią opowiadać tylko o pogodzie lub kilkakrotnie zadać pytanie o to, jak się miewasz, byle tylko podtrzymać rozmowę. Niekulturalnie jest milczeć mając obok siebie drugą osobę. Trudno przychodziło mi uczenie się tej angielskiej elokwencji. A już zupełnie nie potrafiłam i raczej się nie nauczę każdego obdarowywać słownymi słodkościami typu: darling, honey, sweetie, dear... Bardzo trudno było zaprzyjaźnić się z kimkolwiek z kasyna. Wszyscy byli dla mnie bardzo grzeczni w pracy, chętnie ze mną rozmawiali, ale nikt nie proponował wspólnego spędzenia czasu poza pracą. Absolutnie nie świadczyło to o braku sympatii do mojej osoby, Anglicy po prostu chronią swoją prywatność i najczęściej obracają się w swoim towarzystwie.

Poza pracą dużo czasu spędzałam poznając miasto. Pokochałam londyńskie parki, w których spędzałam większość wolnego czasu w ciepłe, słoneczne dni. Mimo wysokich cen biletów przynajmniej raz w miesiącu starałam się obejrzeć jakiś musical w teatrze. Zwiedziłam kilka muzeów, galerii, wystaw. Londyn jest na pewno imponującym miastem ze względu na architekturę, ilość zabytków, muzeów, galerii, teatrów, centrów handlowych.

Przede wszystkim jednak Londyn jest jedyny w swoim rodzaju ze względu na jego wielonarodowość i wielokulturowość. Mam wrażenie, że w Londynie najmniej jest Anglików, bowiem na ulicach spotkać można tu ludzi wszystkich ras, kultur, narodów. Mieszkańcy Londynu są wzorem tolerancji, szacunku i pozytywnego stosunku dla drugiego człowieka. Nam, Polakom, często brakuje tych cech. Z drugiej strony ta wielonarodowość i wielokulturowość wzbudzała we mnie czasem poczucie osamotnienia. Nie czułam jedności, przynależności do londyńskiego społeczeństwa, w którym każdy jest inny. I pomimo, że cieszyłam się, że mogę poznawać ludzi tak różnych kultur i narodowości, najlepiej czułam się w towarzystwie Polaków. Tym bardziej cieszyło mnie to, że razem z moimi wrocławskimi przyjaciółmi także w Londynie utrzymaliśmy stałe kontakty, spotykamy się, dzielimy troskami i radościami.

W Londynie mieszka obecnie kilkaset tysięcy Polaków. Spotykałam ich często na ulicy, w szkole i w czasie różnych polskich imprez kulturalnych. Największą część polskiej emigracji stanowią młodzi Polacy, którzy przyjechali tutaj po wstąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Niestety większość z nich wykonuje pracę poniżej swoich kwalifikacji za bardzo małe pieniądze. Są zadowoleni, bo w Polsce z reguły nie mieli wcale pracy lub mieli taką, za którą nie byli w stanie się utrzymać. Żał jednak, że lata pracy, które włożyli w kształcenie się, idą na marne. Rozmawiając z nimi, dowiadując się jak i ile zarabiają na chleb, bardziej doceniałam warunki pracy, jakie mi tu zaproponowano. Miałam dużo szczęścia, wykonuję dość nietypowy zawód, na który było w Anglii zapotrzebowanie.

Wśród wielu spotkań z różnymi ludźmi jedno szczególnie zapadło mi w pamięć. Pewnego razu saldo mojego konta w banku nie zgadzało się ze stanem faktycznym. Niechętnie myślałam o wizycie w banku, ale sprawa wymagała wyjaśnienia. W holu banku porozmawiałam z panią, która uznała, że sprawa musi być rozpatrzona przez jakiegoś bankowego inspektora, na którego miałam chwilę poczekać. I rzeczywiście po kilku minutach poproszona zostałam do pokoju obok. Zza biurka z trudem podniósł się niewysoki mężczyzna z widocznymi oznakami choroby. Mężczyzna miał zniekształcone kończyny, wyraźnie kłopoty

z chodzeniem i zniekształconą przez chorobę twarz. Jego wygląd mógł działać odpychająco. Porażenie mózgowe, pomyślałam, ten mężczyzna cierpi na porażenie mózgowe. Znałam tę chorobę, cierpi na nią mój 18-letni brat. Wbrew nazwie ta choroba nie jest chorobą psychiczną, cierpiący na nią mają często kłopoty z poruszaniem się, koordynacją ruchów, ale także ze wzrokiem, koncentracją, przyswajaniem wiedzy, w zależności od stopnia zaawansowania choroby. Jak ten mężczyzna może tu pracować? pomyślałam. Mojego brata, Sebastiana, od zawsze traktowałam jako chorego, niepełnosprawnego, niesamodzielnego, a tu ten mężczyzna z tą samą chorobą pracował. W pierwszym odruchu chciałam wyjść z jego gabinetu, bałam się, że mężczyzna może mieć problemy z mówieniem, będzie zniekształcał słowa i ja go nie zrozumiem. Jego twarz uśmiechała się do mnie. Usiadłam przy jego biurku modląc się, abym szybko załatwiła swoją sprawę. Wytłumaczyłam z jakim problemem przyszłam. Mężczyzna przejrzał moje dane w komputerze, zainteresował się moim zawodem. Padło pierwsze, kolejne pytania, zaczęliśmy rozmawiać. Spędziłam w jego gabinecie ponad godzinę czasu. Z niedowierzaniem patrzyłam jak, pomimo swojej ułomności, bankowiec radził sobie z obsługą urządzeń biurowych, komputera, jak cierpliwie tłumaczył mi wszystkie wątpliwości, pomagał w zrozumieniu niektórych bankowych wyrażeń. Kilka razy jeszcze potem wracałam do tego banku i zawsze spotykałam się z tym człowiekiem. Zawsze patrzyłam na niego z podziwem. Ten człowiek nauczył mnie, że niepełnosprawne osoby należy traktować dokładnie tak samo jak każdego innego człowieka. Na ulicach Londynu dużo widać osób niepełnosprawnych, chorych. Nie dlatego, że jest ich więcej niż w Polsce czy w innych krajach, ale dlatego, że ludzie dają im tu prawo do normalnego życia, nie traktują jak szczególne zjawisko, nie okazują litości czy niezdrowej ciekawości. Dużo myślałam o tym w Londynie, dużo myślałam o moim chorym bracie. I powoli zmieniał się mój stosunek do niego. Przestał być dla mnie Sebastiankiem, chorym 18-letnim dzieckiem. Stał się dla mnie Sebastianem, dorosłym mężczyzną. Myślę, że tego on oczekiwał od nas – normalnego, nie specjalnego traktowania. Do tej pory uwa

zawdzięcza to pewnemu pracownikowi londyńskiego banku, który pomógł mi w Sebastianie uwierzyć...

Oprócz wielu pozytywów, które dała mi możliwość pracy w kasynie – nauka języka, poznanie mentalności Anglików, pieniądze, była też jedna negatywna strona tej pracy. Pracuję w systemie popołudniowo – nocnym, często w weekendy, święta. Taki system całkowicie niemal pozbawiał mnie życia towarzyskiego. Wiele razy próbowałam się z kimś umówić na wspólne spędzenie wieczoru, wyjście do kina czy teatru i okazywało się to, ze względu na moją pracę, niemożliwe. Podobnie święta często spędzałam w pracy zamiast z bliskimi mi osobami. Nawet gdybym miała szansę na zapoznanie nowych przyjaciół, musielibyśmy spędzić trochę czasu ze sobą, aby bliżej się poznać. Jak to zrobić, jeśli czasem wolnym i czasem pracy często się mijamy? Z kolei moje dni wolne często spędzałam sama, bowiem np. we wtorkowe czy środowe południa większość ludzi po prostu pracuje. Samotność była niestety ceną za wykonywanie tego zawodu. W Londynie próbowałam ją oswoić, a z czasem choć trochę ją polubić. Nauczyłam się sama chodzić na spacer, do kina, restauracji...

Co dwa miesiące na kilka dni przejeżdżałam do Polski. Paradoksalnie mój pobyt w Londynie bardzo pomógł mi w nawiązaniu bliższych relacji z mamą. Moja kochana mama, 60-letnia emerytka, przekonała się do korzystania z komputera. Podczas jednej z moich wizyt zapoznałam mamę z internetem i od tej pory regularnie otrzymywałam od niej maile. Ja także stale informowałam ją o tym co u mnie słychać. Mimo to podczas każdej mojej wizyty w Polsce zawsze miałyśmy sobie dużo do opowiadania, były to naprawdę szczere rozmowy, na które nie mogłyśmy się wcześniej nigdy zdobyć. Może odległość uświadomiła nam jak jesteśmy sobie bliskie, jak bardzo wzajemnie się potrzebujemy, jak się kochamy?

Trzykrotnie spotkałam się we Wrocławiu z Markiem. Pierwsze spotkanie sprawiło mi dużą radość, cieszyłam się, że widzę go zdrowego, zadbanego, ponownie w dobrej formie. Wracaliśmy jeszcze wtedy w rozmowie do przeszłości, do dobrych i złych wspólnych chwil, próbowaliśmy coś sobie wyjaśnić. Następne spotkanie było już zwykłym spotkaniem koleżeńskim, na którym mieliśmy sobie już mniej do powiedzenia. Ostatnie spotkanie pokazało, jak bardzo jesteśmy już sobie dalecy. Z okazji świąt, imienin i urodzin przez pewien czas regularnie dostawałam od niego zdawkowe życzenia. Któregoś razu tych życzeń już zabrakło. I ja zapomniałam ostatnio o jego urodzinach. Ktoś mi powiedział, że Marek jest z kimś. Gdzieś w duszy coś mnie zakłuło, kiedyś bardzo go kochałam... A może dobrze się stało? Może Marek jest szczęśliwy?

## **Kobieta po przejściach**

Prawie rok leczyłam w Londynie rany po rozwodzie. Pierwsze miesiące upływały mi wyłącznie na pracy i nauce języka. Nie chciałam poznawać nowych ludzi, zamknęłam się w swoim świecie, potrzebny był mi spokój. Co kilka tygodni spotykałam się tylko z moimi przyjaciółmi, których znałam jeszcze z Polski. Tak minęło lato, jesień, zima...

Wiosną, gdy zaczęła odradzać się przyroda, odradzałam się powoli i ja. Ponownie poczułam w sobie kobiecość – zaczęłam kolorowo się ubierać, bardziej dbałam o makijaż, fryzurę, częściej się uśmiechałam. Chciałam, żeby ktoś to zauważył, pochwalił... Coraz częściej myślałam o tym, jak kiedyś, będąc z Markiem, byłam szczęśliwa. Nie tęskniłam za nim, tęskniłam za sobą w tamtych czasach – radosną, z ufnością patrzącą w czyjeś kochane oczy... Kiedyś wydawało mi się, że po Marku nigdy już nie będę chciała z nikim być, a tymczasem teraz czułam się samotna i zaczęłam marzyć o mężczyźnie...

Zaczęłam przyglądać się kolegom z pracy. Niestety, większość z nich miała już swoje dziewczyny, narzeczone, żony. Nie potrafiłabym zresztą sama zaproponować mężczyźnie nawiązania bliższej znajomości. Podryw w klubach czy na ulicy zupełnie nie były w moim stylu. Z góry zakładałam, że najlepszym towarzystwem dla mnie byłby Polak – nie byłoby problemów z różnicami kulturowymi czy językowymi. Tylko jak i gdzie poznać wolnego, inteligentnego, w miarę przystojnego czterdziestolatka w ogromnym Londynie? Są tu w ogóle tacy?

Wybrałam metodę może nie za bardzo romantyczną, ale wierzyłam, że skuteczną – ogłoszenia w polonijnej prasie i w internecie.

Już samo sformułowanie anonsu sprawiło mi kłopot. Bo jakże opisać w kilku słowach siebie i swoje oczekiwania? Wypadałoby napisać coś przyciągającego uwagę, pozytywnego o sobie, ale czy napisanie „atrakcyjna szuka...” nie byłoby zarozumiałstwem? Urodę mam raczej przeciętną, rzec by można – średnią krajową, ale czy napisanie w ogłoszeniu „przeciętna szuka...” odniosłoby jakikolwiek efekt? I jakie oczekiwania o przyszłym facecie w takim ogłoszeniu zawrzeć? Najlepiej byłoby, żeby był: bez nałogów, przystojny, mądry, silny, ale wrażliwy, czuły, opiekuńczy i do tego bogaty... Odzew pewnie byłby żaden. Ideałów nie ma. Koniec końców ogłoszenie brzmiało krótko: Samotna, sympatyczna 36-latka po przejściach pozna inteligentnego pana w wieku 40 – 50, tel....



Na odpowiedzi nie czekałam długo. Już w dniu ukazania się ogłoszeń odebrałam kilkanaście telefonów i mailii. Ze względu na specyficzny tryb pracy nie mogłam spotkać się z wieloma panami, postanowiłam więc wcześniej zaznajomić się z nimi telefonicznie, a potem zdecydować o spotkaniu z trzema, może czterema osobami... Tak też wydawało mi się, byłoby najuczciwiej.

Kontaktowali się ze mną bardzo różni panowie, niektórzy na pewno nie czytali moich anonsów uważnie. Zdziwiona byłam bardzo ofertami nazwijmy to biznesowymi. Dzwonił np. 25-latek szukający pani do sponsorowanych spotkań erotycznych. Byłam tak zaskoczona, że nie dopytałam się, kto kogo miałby sponsorować – młodzieniec mnie czy ja młodzieńca? Chyba jednak ja młodzież, bo w innym smsie padła propozycja: chciałbym poznać starszą panią w zamian za pomoc finansową. Śmieszno – straszne. Ja - miałabym być ową starszą panią?

Dużą grupę panów stanowili też panowie żonaci, którzy swoje rodziny pozostawili w Polsce. Część z nich próbowała ukryć swój stan cywilny nie odpowiadając konkretnie na zadane pytanie. Część z nich mówiła, że jest z żoną w separacji. W zdumienie wprawiało ich wówczas moje pytanie: a czy żona o tej separacji wie? Wykręty były różne... Rozumiem samotność tych panów, ale ja jestem nieco staroświecka i cenię sobie uczciwość. Nigdy nie chciałabym być tą trzecią, na chwilę, na tutaj, na Londyn, podczas gdy wszystkie święta i wakacje mój luby spędzałby z rodziną w Polsce. Panowie wręcz nazywali takie związki „układami bez zobowiązań” lub „związkami bez burzenia dotychczasowych układów rodzinnych”. Myślę, że jest tutaj trochę takich związków – panów i pań prowadzących dwa odrębne życia, z różnymi partnerami – w Londynie i w Polsce.

To, co najbardziej uderzyło mnie po kilkudziesięciu rozmowach przeprowadzonych z przedstawicielami płci przeciwnej to smutek i rozgoryczenie... Większość osób po 40tce przyjeżdżających do Anglii znajduje się tutaj dlatego, że w Polsce coś im nie wyszło, że mieli jakieś problemy i uciekli przed nimi do Anglii. Te problemy to z reguły kłopoty finansowe, brak pracy i wiążące się często z nimi kłopoty osobiste – nieporozumienia, oddalenia w związkach małżeńskich. Kłopoty finansowe czasami udaje im się poprzez pobyt tutaj powoli rozwiązywać. Czasami, bowiem ogromna większość Polaków pracuje tutaj za niewielkie pieniądze. Kłopotów osobistych ucieczką rozwiązać się nie da. Trzeba albo o rozpadające się małżeństwo powalczyć na miejscu, w Polsce, albo mieć odwagę je zakończyć, rozstać się. Sama tak zrobiłam i wydaje mi się, że podjęłam najlepszą z możliwych wówczas decyzji. Tymczasem panowie, z którymi rozmawiałam nie mają żadnych planów na przyszłość, nie

wiedzą co chcą dalej w życiu robić. Są często zrezygnowani, zniechęceni, rozgoryczeni życiem. Brak im życiowej energii. Często topią swoje smutki w alkoholu. Ci mężczyźni znalezienie partnera traktują jako remedium na swoje problemy, które przecież same nie znikną. Rozmowy z takimi mężczyznami były smutne. Mówiąc, że się nie spotkamy miałam wrażenie, że dokładam im tego smutku.... Nie chciałam jednak pograżać się w czyichś kłopotach.

To, co najczęściej interesowało panów to mój wygląd zewnętrzny. Rozumiem, że jest on ważny, ale naprawdę trudno jest opisać siebie obiektywnie. A panowie chcieli wiedzieć przede wszystkim ile mam wzrostu i ile ważę (chcieli mnie nosić na rękach?), jaki mam kolor włosów (brunetka, okazało się, że nikt nie lubi blondynek) i czy jestem ładna. Po kilku słowach rozmowy często nazywali mnie serduszkciem, słoneczkiem, skarbeńkiem, kochaniem... Brrr, nie podobało mi się...

Nie żałuję jednak czasu spędzonego na rozmowach. Lubię poznawać ludzi, lubię z nimi rozmawiać. Rozmowy te bardzo szybko uświadomiły mi, co jest dla mnie w drugim człowieku ważne, a czego zdecydowanie nie jestem w stanie tolerować. I tak: wykluczałam panów żonatych, lubiących alkohol, bez pracy, szukających wsparcia finansowego, niezdecydowanych, niezaradnych, nie mających żadnych zainteresowań. Szukałam mężczyzny wolnego, uczciwego, inteligentnego, z poczuciem humoru...

Na randki postanowiłam umówić się z dwoma panami, którzy podczas rozmów telefonicznych wywarli na mnie najlepsze wrażenie.

Pierwszym był Krzysztof. Umówiliśmy się w samym centrum Londynu, na Piccadilly Circus. Nigdy nie myślałam, że randka w ciemno może być tak stresującym przeżyciem. Zanim jeszcze wyszłam z domu, już byłam zdenerwowana, jakby od tego spotkania zależało całe moje dalsze życie. Chciałam zrobić jak najlepsze wrażenie, bo a nuż szłam na spotkanie z miłością mojego życia? Gdy jednak tylko zobaczyłam Krzysztofa, wiedziałam, że nie zakocham się w tym facecie. Tak zwyczajnie – to nie był mój ulubiony typ mężczyzny. Okazało się, że Krzysztof dokładnie tak samo pomyślał o mnie. Mimo to, spędziliśmy ze sobą wiele godzin na ciekawej rozmowie. Byłam zaskoczona otwartością i szczerością, jaką wzajemnie się obdarzyliśmy. Spotykaliśmy się potem jeszcze wiele razy i zostaliśmy naprawdę dobrymi przyjaciółmi. Krzysztof dzielnie sekundował moim poszukiwaniom miłości. Sam zaś, kilka miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu, poznał, również z ogłoszenia, Sylwię, w której z wzajemnością się zakochał.

Wojtek był drugim mężczyzną, z którym miałam się spotkać. Był 10 lat starszym ode mnie, rozwiedzionym, wysokim, przystojnym brunetem. Od razu mi się spodobał. Ja jemu chyba także, zaczęliśmy się regularnie spotykać. Po kilku miesiącach byłam zakochana. Coś jednak nie pozwalało mi wierzyć, że to szczęście będzie długo trwało... Kilka dni przed Bożym Narodzeniem, które mieliśmy spędzić razem, Wojtek, powiedział mi, że niestety nie będziemy mogli być razem w Święta, ponieważ on musi pojechać na zjazd rodzinny do cioci do Paryża. Ciocia jest wiekowa, dzwoniła do niego, zapraszała, a ponieważ będzie tam też jego rodzeństwo, on musi pojechać. Było mi przykro. Pomyślałam, że mógłby i mnie tam zabrać. Wigilię spędziłam z polskimi przyjaciółmi, ale myślami byłam przy Wojtku. Chciałam z nim choć chwilę porozmawiać, wykręciłam numer komórki, nie odpowiadał, nie włączała się też poczta głosowa. Wybrałam numer domowy, nie wiem dlaczego, przecież nie powinno go tam być... Zaskoczona usłyszałam w słuchawce jego głos. Odłożyłam telefon, zadzwoniłam ponownie, halo – usłyszałam. Spotkaliśmy się po Nowym Roku, zapytałam o jego pobyt w Paryżu, Wojtek opowiadał o rodzinnej Wigilii, Sylwestrze... Przerwałam mu, powiedziałam mu o moich telefonach w Wigilię. Okazało się, że do Wojtka przyjechała jego eks-żona (a może żona? – było mi wszystko jedno) z synem, chciała z nim spędzić Święta. Wojtek nie powiedział mi o tym, bo nie chciał mnie stracić. Stracił – kłamiąc. Po rozwodzie z Markiem obiecałam sobie dbać przede wszystkim o siebie, nie dam sobie więcej zrobić krzywdy. Nigdy więcej nie chciałam Wojtka widzieć.

Telefony z różnymi ofertami panów odbierałam jeszcze kilka miesięcy po ukazaniu się ogłoszeń. Z kilkoma, może kilkunastoma mężczyznami się spotkałam. Niestety, żadne z tych spotkań nie zaowocowało dłuższym związkiem. Nie umiałam znaleźć miłości, może kiedyś ona znajdzie mnie?

#### Wkrótce – Wrocław

Początkowo moje wizyty w Polsce pełne były spotkań z rodziną, i bliższymi i dalszymi znajomymi. Z czasem grono osób, z którymi się widywałam w Polsce, malało. Coraz częściej zauważałam, że brakuje nam tematów do rozmów, że żyjemy różnymi sprawami, że bardzo się od siebie oddalamy. Trzeba wspólnego spędzania czasu, wspólnych spraw, aby utrzymać przyjaźnie. Po roku pobytu w Londynie zauważyłam, że coraz mniej oczekuję przyjazdów do Polski. Chciałam zobaczyć się z mamą, braćmi, przyjaciółką i po trzech – czterech dniach gotowa byłam wracać do Londynu. Nie miałam w Polsce żadnych obowiązków, brakowało mi zajęć, nudziłam się. Spacerowałam samotnie po wrocławskim Rynku i zastanawiałam się: co ja tutaj robię? Gdzie powinnam teraz być? Gdzie jest moje miejsce?

Podobne rozterki przeżywałam w Londynie. Bywały chwile, kiedy zastanawiałam się, czy nie pozostać tutaj na stałe. Zawsze jednak powracała tęsknota i myśli o tym, jak żyłabym w Polsce. Nie organizuję sobie życia w Londynie, ciągle czując, że jestem tu tymczasowo. W tej chwili żyję w dwóch światach – mentalnie i duchowo ciągle jestem w Polsce wśród Polaków, fizycznie – mieszkam w Londynie. Nie chcę całego życia spędzić w takim rozdzieleniu. Nadchodzi czas podjęcia decyzji gdzie chcę spędzić resztę swojego życia i co chcę w nim osiągnąć.

Moje życie w Londynie to wygodna stabilizacja. Mam stałą pracę, kilku przyjaciół. Ale czy moje życie wygląda tak, jakim chciałabym je widzieć? Mieszkam w małym pokoiku, który przypomina bardziej pokój hotelowy niż dom. Nie stać mnie na kupno mieszkania w Londynie, a ewentualny kredyt spłacałabym do 70 roku życia. Mam stałą pracę, którą lubię, ale w której już się nie rozwijam, a każdy ewentualny awans byłby tylko powielaniem mojej drogi zawodowej z Polski. Zmiana pracy w Anglii wiązałaby się z niekorzystną zmianą warunków finansowych, więc w obecnej chwili nie mogę sobie na nią pozwolić. Jestem samotna, nie znalazłam sobie tutaj życiowego partnera. Powoli oswajam z myślą, że może być tak, że resztę swojego życia będę sama. Czy będąc samą chciałabym spędzić moje życie tutaj? Odpowiadając sobie na te pytania zawsze widzę siebie tylko w jednym miejscu – Wrocławiu. Wiem, że wkrótce powinnam tam wrócić. Londyn spełnił swoje zadanie – pozwolił mi zapomnieć o rozwodzie z Markiem, przywrócił wiarę w siebie, pozwolił na poznanie wielu nowych wspaniałych ludzi, ale jego terapeutyczna rola powoli się kończy. Czas wrócić do polskiej rzeczywistości, poukładać sobie życie na nowo.

We Wrocławiu czeka na mnie mieszkanie, w którym kiedyś żyłam z Markiem. Chcę stworzyć sobie tam dom, do którego będę z radością wracała. Może kiedyś, do kogoś? Chcę usiąść na kanapie, oglądać polski serial głaszcząc swojego kota, chcę z rodziną spędzać święta, czuć zapach pieczonego ciasta, chcę uśmiechnięta spacerować po wrocławskim rynku i spotykać znane mi z widzenia twarze... Spotykać się z przyjaciółmi... Chcę cieszyć się zwyczajnym, codziennym życiem...

W przyszłym roku mój brat kończy liceum. Razem poszukamy dla niego lokalu i otworzymy mały sklepik. Ojczym obiecał, że będzie dowoził Sebastianowi towar, mama będzie pomagała w sprzedaży, więc będzie to rodzinny interes.

Ja też myślę o zmianie pracy. Jestem już zmęczona pracą popołudniami i nocami. Wykorzystując swoje lata praktyki chcę otworzyć we Wrocławiu szkołę dla krupierów. Nie ma jeszcze takiej szkoły w Polsce. Wiem, jak taka szkoła miałaby wyglądać, w Polsce prowadziłam podobne szkolenia. Znalazłam już w Londynie współpracownika, który najlepszym kursantom pomógłby szukać pracy w Anglii.

Tyle planów przede mną, tyle pracy... Wiem, że nie będzie łatwo, ale mam w sobie teraz tyle wiary, pozytywnej energii... Muszę ją wykorzystać.

A Londyn? Na zawsze już będzie częścią mojego życia. Tu zwalczyłam swój smutek po rozwodzie z Markiem. Tutaj mieszkają moi przyjaciele, tu mam chrześniaka. Na pewno będę tu wracać. Z Wrocławia to przecież tylko dwie godziny lotu...